Nr 42. (porz. 172.) Kraków, sobota d. 18. października 1902. Rok V.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Właściciele: Dr Michał Danielak i ks. Andrzej Szponder.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu" jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2.

Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu", Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

Sprawozdanie poselskie.

W niedzielę 12. bm. odbyło się zgromadzeuie wyborców z powiatu Limanowskiego w Limanowej. w sali Rady powiatowej. Zgromudzenie było liczne, przybyło bardzo wielu włościan z powatu, przybyli księża, urzędnicy i inteligencya. Przewodniczył marszałek Rady powiatowej p. Mars. Poseł Danielak w długiem przemówieniu przedstawił działalność Rady państwa, swoją pracę. starania i wnioski.

Rada państwa uchwaliła budowę naszych kolei, uchwaliła budowę kanałów, regulacyę rzek, od n. roku będą zniesione myta na drogach rządowych, otwarto granicę do Prus dla naszego bydła; ograniczono powoływanie synów włościańskich podczas żniw na ćwiczenia; wynagrodzenie za podwody ma być w najbliższym czasie podwyższone.

Poseł Danielak mowił o strasznych krzywdach podatkowych, o postępowaniu egzekutorów, a gwałtach. Lud doprowadzono do żebraczego kija, chłop już dzisiaj nie jest właścicielem gruntu, ale dzierżawcą, nikt nie wie, ile ma płacić, coraz więcej każą płacić, a nikt nie pyta, zkąd wziąć.

Całe wagony srebra wywożą z podatków ludowych i cisną tak. że wreszcie lud zrozpaczony ucieka za morze. tam pracuje, aby tutaj zapłacić podatek. To samo się dzieje z obszarnikami, to samo z rzemieślnikiem. Dalej mówił p. Danielak o dręczeniu żołnierzy w wojsku. Wszyscy jednomyślnie domagali się w myśl wniosku Dra. Danielaka aby już raz zniesiono barbarzyńską karę „słupka" (anbinden) i 6 godzin

„szpangi.“ Dalej, aby żandarmi nie kuli chłopa za lada bagatelę w kajdany, aby nie trzymano ludzi niewinnych całemi miesiącami w inkwizycyi.

Kiedy będzie ludowi lepiej i kiedy będzie w całym kraju lepiej? — pytał Dr. Danielak — Wtedy, wzyscy mu przyznali, gdy karczmy stać będą puste gdy zniknie 14.000 karczem, tych 14.000 źródeł zbrodni, kryminałów, procesów, bitek i sądów; gdy będzie święconą niedziela od soboty wieczora do poniedziałku rano. Kto idzie do Ameryki? żyd — cy chłop? Chłop, a żyd zabiera jego ziemię. Po chorobie i śmierci — powiadają ludzie — najgorszm jest proces. Dlatego — nawoływał poseł Danielak – unikajcie sądów, unikajcie procesów, lepiej krzywdę darować, aniżeli się procesować. A tych, co namawiają do procesów, bierzcie za kark i wyrzucajcie delikatnie za drzwi, na pole.

Przemówienie swe zakończył p. Danielak tem, iż teraz po wymieceniu Limanowej z bagna — nastały w powiecie inne czasy, lepsze stosunki, dzisiaj można śmiało udać się po radę i pomoc do starostwa i do Rady powiatowej. (Do Limanowej dano teraz wszystkich nowych urzędników, ludzi zacnych i porządnych. To zasługa Dra. Danielaka. Red.).

Przemawiali następnie pp. Filipek, Kuza, Dworański, Dr. Młodzik, Gancarz, marszałek Mars i na wniosek gospodarza Gancarza wszyscy zgromadzeni uchwalili posłowi Danielakowi wotum ufności, podziękowanie i uznanie za pracę i pomoc, z jaką zawsze spieszy ludowi i za obronę pokrzywdzonych.

* * *

Na drugi dzień dnia 13. bm. odbyło się zgromadzenie w Jordanowie. Przybyło wielu wyborców z okolicy i z Jordanowa. Po sprawozdaniu Dra. Danielaka, przemawiali: p. Miśkowiec, p. Sularz, ks. kan. Zych, ks. Murzański, rejent Dolajs, marszałek p. Stolaski, p. Pniaczek, a w końcu na wniosek Dra Starzewskiego uchwalono p. Danielakowi wotum zaufania za to, że godnie zastępuje wyborców, wyrażono uznanie i podziękowanie i życzenie, aby i nadal tak samo pracował dla dobra kraju i narodu.

W następnym numerze podamy Czytelnikom wnioski i żądania wyborców postawione na zgromadzeniu w Limanowej i w Jordanowie.

Z niedoli ruskiego chłopa.

W Borszowicach za Przemyślem jest proboszczem ruskim. ks. Ludkiewicz. Gospodarka jego rujnowała gminę, rujnowała fundusze kościelne, ale nikt nie śmiał wystąpić przeciw temu. Dopiero od niedługiego czasu dwóch zamożniejszych włościan, Łuczko i Nożdżak, postanowili położyć kres gospodarce Ludkiewicza. Zwoływali oni kilkakrotnie zgromadzenia we wsi, przedstawiając włościanom szkodliwą gospodarkę parocha. Ludkiewicz nie pozostał głuchym na tą krytykę. Na podstawie fałszywej denuncyacyi osadził Łuczkę w więzieniu pod zarzutem zbrodni obrazy religii, gdzie długo przesiedział, zanim wyrok sądowy nie orzekł o jego niewinności.

Nie złamało to Łuczki. Po wyjściu z więzienia prowadził dalej swoją agitacyę. Co niedziela stawał Łuczko i Nożdżak na przyzbie swoich go-

spodarstw, koło których przechodzili włościanie do cerkwi na nabożeństwo, a zatrzymując idących, wypytywali ich:

— Gdzie idziecie, kumie?

— Ta na służbę bożą.

— A co niesiecie dla parocha?

Jedni odpowiadali, że „korowaj“ dla księdza, inni jaja, niektórzy drób żywy, to znowu masło, ser, lniane i konopiane zwoje płótna.

— A po co to wy niesiecie?

A chłopi opowiadali, że Bogu na chwałę kazał ksiądz nosić co niedziela prezenty do cerkwi.

Wtedy to Łuczko i Nożdżak tłómaczyli chłopom, że Pan Bóg nie potrzebuje chłopskich „korowai“, ani jaj, ani masła i że to ksiądz dla siebie zabiera.

— Lepiej dzieciom zanieście, bo chodzą głodne i obdarte, a jaja sprzedajcie na podatek, by was egzekutor nie grabił.

Większość chłopów szła za radą Łuczki i Nożdżaka, a ks. Ludkiewicz piorunował, że Pan Bóg ześle na wieś pomór, głód, grad i ogień. Ale Pan Bóg nie słuchał klątw parocha i chłopom dalej wiodło się po chłopsku, ni lepiej, ni gorzej.

Spróbował ks. Ludkiewicz wezwać raz jeszcze ziemskiej pomocy na wsiowskich buntatorów i zrobił doniesienie na Nożdżaka, że „obraził Boga w modlitwie“. Obraza polegała na tem, że Nożdżak miał pod krzyżem wołać:

— Boże, my wże poczorniły z hołodu i nużdy i Tyś poczornił wid witru i wse złe i wse nedobre.

Denuncyacya poskutkowała. Pewnego wieczoru, kiedy Nożdżak legł już do spania, zjawił się we wsi młody, dopiero na praktyce będący żandarm z nakazem aresztowania Nożdżaka. Zbudzony ze snu Nożdżak zaląkł się niemało, a po chwili ochłonąwszy, oświadczył żandarmowi, że nie pójdzie z nim, bo on jeszcze „rekrut“. Żandarm poszedł na posterunek, wziął z sobą wachmistrza i powrócił do wsi.

W towarzystwie wójta, podwójciego i zaprzysiężnych wkroczono do chaty Nożdżaka. Wachmistrz wezwał Nożdżaka, aby dał się skuć żandarmowi. Przy tej sposobności rozegrał się następujący epilog: Wachmistrz żandarmeryi do Nożdżaka:

— Daj ręce do kucia!

— Nie, panie Wachmistrz. Ten rekrut nie będzie mię kuł.

— To ja broni użyję!

Na te słowa rozdarł Nożdżak sukmanę na piersi, wołając:

— Probyj! Nechaj ciłyj świt znaje, jako sia z ludmy obchodyt!

Wachmistrz zastanowił się chwilę, a potem do Nożdżaka:

— A mnie dasz się skuć?

— Wam dam! Bo wy budete widpowidały za toje!

Po tych słowach złożył Nożdżak ręce na piersi i podał je do skucia. Wachmistrz, rozbrojony tem, cofnął łańcuszki.

— Nie, nie będę cię kuł, — powiada — ale czemu ty doj cerkwi nie chodzisz?

— Bo tam korczma! Idyt, tam w cerkwi stoit ciła baryłka horyłki! (wódki).

— Wachmistrz do wójta:

— Ten człowiek musi być obłąkany. Wójcie, czy to prawda?

Wójt poskrobał się po głowie i powiada:

— Ta prawda. Tam ludzie przynoszą wódkę na ofiarę, a ksiądz zlewa ją do jednej baryłki i chowa pod ołtarzem.

Wachmistrz do Nożdżaka:

— Aresztuję cię, pójdziesz ze mną!

— Dobre, mene poriadnoho czołowika berete do kryminału, a w seli jest ciła masa złodziji i tyj spokijno sobi żyjut!

— A którzy to są? — pyta wachmistrz.

Nożdżak począł wyliczać:

— Perszyj pop, potem wójt, podwójci — i tak dalej naliczył ich ośmiu i podał zaraz fakta kradzieży.

W drodze do Niżankowic musiano przechodzić przez rzeczkę Wiar. Wachmistrz chciał iść na most, ale Nożdżak uparł się, że pójdzie w bród przez rzekę, przyczem zapewnił żandarmów, że ich przeniesie na plecach na drugą stronę.

A może ty nas na środku wody zostawisz? — pytał wachmistrz.

— Nie bijte sia pane! — zapewnił Nożdżak.

Za chwilę na chłopskich plecach przeprawiał się żandarm na drugą stronę Wiaru. Wachmistrza przeniósł Nożdżak, a po „rekruta“ nie chciał wyprawić się, mówiąc:

— Wy starszij to szczo inszoho, ałe tamtyj może sam ijty! — i musiał żandarm-„rekrut“ rad nierad sam przez Wiar wędrować.

W Niżankowicach przyznał się Nożdżak do treści wygłoszonej pod krzyżem modlitwy. Przy przesłuchaniu powiada sędzia do Nożdżaka:

— Już cię nauczyli w Przemyślu cyganić! — na co odpowiedział Nożdżak:

— Ja chłop, ja ne znaju cychanyty. Pany i popy to tyj znajut dobre cychanyty!

Trzy dni siedział Nożdżak w śledztwie. Po trzech dniach wypuszczono go na wolność, a przy rozprawie uwolniono go od winy, ponieważ w szczerej chłopskiej modlitwie sędziowie nie mogli się dopatrzyć obrazy Boga.

ŻYDZI I MY.

(głos sklepikarza).

Są ludzie którzy nawet mówią, że żydzi to także bliźni i protegują ich, a nawet pomagają żydom w interesach. Że żyd jest naszym bliźnim, toć prawda, bo tak Chrystus nauczał, ale czyż dla miłości żydów godzi się swego brata potępiać, a żyda wzbogacać? Oni i sami mają różne swoje stowawarzyszenia, które im upaść nie dają. Prawda, że żyd jest bliźnim naszym, że nie powinniśmy mu krzywdy robić, ale nie powinniśmy ich i wzbogacać, bo oni są i tak naszemi pijawkami.

Żydzi rozmaitemi sposobami wciskają się do wsi; przychodzą tu ubodzy, a po kilku latach stają się już bogatymi i grożą nawet mieszkańcom wioskowym, a bywa, że i z majątku niektórych wyrzucają.

A to wszystko dzieje się dlatego, że się im pozwalamy wyzyskiwać i wierzymy w ich piękne słówka. Żyd we wsi jest wielką plagą dla jej mieszkańców; a jednak włościanie nasi z chęcią mimo nawet zakazu prawa przyjmują ich do siebie na lokatorów. I oto, jak i w naszej wsi, mieszka u włościan osiem familii żydowskich, a każda z nich prowadzi jakiś handel dla tego, żeby żyć groszem wyzyskanym od nas. Bo i z czegóż oni naprawdę żyją?

Tym sposobem włościanie nasi nietylko stają się żydowskimi niewolnikami, ale sami są przytem tak zżydziali, że i sklep chrześcijański trudno się wśród nich utrzyma. U żydów bywają rozmaite posiedzenia wieczorne, rozmaite złe narady, z czego później wynikają procesy, a nawet i co gorszego, a to wszystko dzieje się właśnie u żydów, bo przy sklepach chrześcijańskich tego niema. To też być może, że i z tego powodu sklepy chrześcijańskie powodzenie mają nader słabe.

Lat temu kilka pisało się o tem dużo; zwłaszcza gazety nasze pod hasłem „chleb dla swoich“ wzywało do zakładania sklepów. Ja to wszystko czytałem i sklep założyłem na wsi. Pomyślałem nawet sobie, że sklepik utrzymania może nie dać, więc kupię sobie i kawałek gruntu z domem. Zrobiłem tak, sklep założyłem, ale, jak widzę dziś, zawiodłem się, chociaż postępuję jak najrzetelniej i staram się zadosyć uczynić publiczności. Borykam się już lat kilka, ale z przyczyny żydów trudno się czegoś lepszego spodziewać. Żydów tu we wsi dużo, a chociaż wszyscy narzekają na nich, jednak tak zżydzieli, że bez nich żyć nie mogą, ja zaś biedny swojak, chociaż mnie niby chwalą, patrzę na to, jak się żydzi bogacą. Żydolubstwo panuje u nas, jak obłęd jaki! Ogół nie odzwyczaił się jeszcze od różnych Lejbów, Icków, Ryfek i Sur. Raz już powinniśmy żyć dla siebie i dla swoich! Wtedy i handel i przemysł przejdzie w nasze ręce i wszystkim nam będzie lepiej. *Włościanin.*

Spotkanie z grzechotnikiem.

Znaleźlśmy nocleg w domu zamożnego, cywilizowanego krajowca. Mnie przypadło w udziale honorowe miejce na jedynem w domu łóżku, towarzysze moi spali w hamakach na werandzie.

Znużony całodzienną włóczęgą, zasnąłem twardo. Nad ranem zaczęły mnie prześladować sny ciężkie, męczące. Czułem jakiś niezwykły ciężar na piersiach. Jęczałem, chciałem się obudzić, lecz nie mogłem zrobić najmniejszego ruchu.

Wreszcie otworzyłem oczy. Zmora była rzeczywistością... Przy słabem świetle księżyca spostrzegłem jakiś ciemny przedmiot na piersiach. Machinalnie wyciągnąłem rękę i chwyciłem... zimne, śliskie ciało. Krzyknąłem przeraźliwie i w tej chwili usłyszałem odgłos opadającego na ziemię ciała. Był to wąż. Wyciągnął się na ziemi i wkrótce zniknął pod ściauą.

Na krzyk mój przybyli towarzysze i gospodarz.

— Co się stało? — rozległy się zapytania — złodzieje, niedźwiadek?

— Nie, wąż!

— Ach, tylko wąż! — roześmiał się gospodarz. — Jest tu u mnie z pół tuzina. Bardzo łagodne i pożyteczne, tępią w domu myszy, szczury i wszelkie robactwo.

— Więc węże u was są nieszkodliwe?

— Takie jak ten, którego pan widział, są nietylko nieszkodliwe, lecz, jak już powiedziałem, pożyteczne. Ale w lasach znajdują się rzeczywiście niebezpieczne.

— Zapewne rzadko zdarzają się spotkania?

— Rzadko, ale często bardzo tragiczne. Opowiem panu później zdarzenie, jakie miałem w roku zeszłym./

Przy śniadaniu rozpoczęliśmy pegawędkę naturalnie o wężach. Przypomniałem gospodarzowi jego obietnicę. Nie dał się długo prosić.

— W roku zeszłym udałem się łowić ryby nad rzekę Sparwinę. Miałem z sobą potężną wędkę z wielkim. podwójnym haczykiem. Złożyłem fuzyę na trawie, szablę wbiłem w ziemię i zarzuciłem wędkę. W parę minut ryba chwyciła przynętę. Począłem się cofać ostrożnie, aby wyciągnąć rybę na brzeg, gdy nagle usłyszałem za sobą gniewne syczenie i cichy dźwięk. Zadrżałem i odwróciłem głowę.

Włosy podniosły mi się na głowie, zimny pot wystąpił na całem ciele od wierzchołka głowy aż do pięt.

Tuż za mną, o trzy kroki zaledwie, ogromny wąż grzechotnik, wysuwający się z trawy, wznosił łeb do góry, gotowy do rzucenia się na mnie.

Widziałem błyszczące złowrogo oczy... widełkowaty, lśniący język, zęby wygięte w tył, paszczę ziejącą... czułem się zgubiony!

Tymczasem ryba zerwała się z haka na moje szczęście...

Stałem jak wryty, nieruchomy z wędką w ręku, patrząc z trwogą na węża, który również uporczywie wpatrywął się we mnie. Moja nieruchomość zdawała się go uspakajać.

Zachowywał się spokojnie, tylko rytmicznie poruszał głową, wzniesioną o metr nad trawą. Trzeba było zemknąć. Za mną znajdowała się szeroka rzeka, pełna kajmanów. Posunąłem się na prawo...

Rozległ się syk i dźwięk grzechotnika. Ruch mój widocznie rozgniewał węża, który nie chciał, abym się ruszał z miejsca. Spróbowałem posunąć się na lewo — ta sama muzyka zabrzmiała, paszcza się szeroko rozwarła.

Byłem, jednem słowem, jeńcem wstrętnego potworu, niezwykle wielkiego okazu. Mierzył ze trzy metry.

Byłem bezbronny. Fuzya moja znajdowała się po za wężem; ze zdumieniem spostrzegłem, że rękojeść szabli sterczy z trawy zaledwie o kilkanaście centymetrów od cielska węża. Gad leżał tak dobrze ukryty w trawie, że o mało nie przygwoździłem go ostrzem do ziemi.

Ale co teraz czynić?

Nagle przyszła mi myśl do głowy. Ponieważ wąż nie chce mi pozwolić, abym się oddalił lub poruszył chociaż z miejsca, a broni dostać nie mogę — gdybym tak spróbował zarzucić wędkę na własną fuzyę?

Hak był mocny, sznur także, wędka dość gruba, aby utrzymać ciężar fuzyi... Trzeba próbować!

Ale to sprawa nie łatwa. Wyciągam ostrożnie ramię i zarzucam wędkę ruchem dłoni. która drży... drży okropnie...

— Psss. pss... krrr, krr... — znów daje się słyszeć syk i grzechotanie... Wąż porusza się coraz niespokojniej... lada chwila rzuci się na mnie.

Nie jestem bynajmniej tchórzem, wiecie coś o tem, panowie, ale czułem, że najmniejsza nieostrożność będzie przyczyną mej śmierci!

I jakiej śmierci, Boże!

Pozostałem nieruchomy chwilę, skurczony, z mętnym wzrokiem. Nogi się podemną uginały, za gardło coś trzymało, serce biło tak mocno, jak gdyby miało pierś rozsadzić.

Była to okropna chwila. Na samo wspomnienie o niej skóra cierpnie na mnie...

Widząc, że się nie poruszam, wąż znów się uspokoił, utkwił błyszczące oczy na chwilę w sznurze wędki, kręcącym się nad jego cielskiem.

Jeszcze ostrożniej, jeszcze wolniej, niżeli to było możliwe, wyciągnąłem ramię, nachyliłem wędkę i starałem się zaczepić za taśmę. Na nic! ręka drży, jak w febrze!

Na miłość Boską, spokoju, zimnej krwi!

Chybiłem! Próbuję po raz drugi... Znów chybiam... Trzeci raz i czwarty...

Nareszcie! Haczyk zaczepił się o taśmę... Podnoszę ramię w górę... Wędzisko wygina się pod ciężarem broni... Ostrożnie, zwolna w górę?

Fuzya jedzie w górę, wędzisko wygina się prawie w półkole... Czy wytrzyma?

Wąż, który się już oswoił z widokiem sznura, zaczyna się niepokoić i gniewać na widok wielkiego przedmiotu, wznoszącego się nad nim w górę.

Znów trzeba się uzbroić w cierpliwość niesłychaną, dokazać cudu zręczności, przysuwać fuzyę cal po calu...

A jeżeli sznur pęknie, jeżeli wędzisko się złamie, haczyk się zepsuje?

Jeszcze parę minut takiej trwogi, takiej niepewności, takiego natężenia, a nerwy popękają jak zbutwiałe struny, a stracę zmysły.

Nareszcie!!... Mam w ręku moją wierną strzelbę. Z ostrożnością niesłychaną, tak powoli, że zdawałoby się to nieprawdopodobnem, odczepiam haczyk, przykładam broń do ramienia i zaczynam celować...

Ale krew się we mnie gotuje, naprężone nerwy drgają, oczy się mrużą... Strzelba drży i kołysze się w mem ręku.

Muszę czekać, aż wszystko się uspokoi, a straszne to oczekiwanie, gdyż wąż zaczyna się niepokoić coraz bardziej... Już nie czeka dłużej...

Łeb gadu chwieje się coraz szybciej... szyja się wyciąga pionowo... potworna paszcza rozwiera się... pierścienie węża, lśniące na trawie, poczynają się wyprężać... Rzuca się!...

W ciągu jednej sekundy, prawdziwie tragicznej, spostrzegłem wreszcie nawprost celownika linię pionową, utworzoną przez szyję gadu. Nacisnąłem kurek. Rozległ się huk, obłok dymu zasłonił mi oczy...

W tej samej chwili uczułem gwałtowny cios w brzuch, jakby uderzenie pięści...

Czyżbym chybił węża? Nie! Dobrze wymierzony nabój odciął mu łeb od tułowia, ale siła skoku była tak wielka, że cielsko bez głowy uderzyło mnie w to samo miejsce, na jakie potwór zamierzał się rzucić. Krwawa plama, wielkości dna od szerokiej butelki pozostała na mej odzieży, a odpowiadała zupełnie przecięciu ciała węża!

Byłem ocalony!

Podczas gdy cielsko wiło się i kurczyło, jak olbrzymi robak, gdy łeb, leżący u mych stóp, kłapał zębami i gryzł ziemię — wyczerpany i osłabiony rzuciłem się bezsilnie na trawę. Dopiero po upływie pół godziny przyszedłem do siebie. Zmierzyłem cielsko — wąż miał przeszło trzy metry długości. Prawdziwy potwór!

Odciąłem mu „grzechotki“ i zachowałem na wieczną pamiątkę.

POŻARY I ZGLISZCZA

POWIEŚĆ

NA TLE POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

(Ciąg dalszy).

Młoda kobieta wyskoczyła z wozu. Skóra pantery już zdjęta, suszyła się do drzewa przybita, na długich żerdziach nad ogniskiem dymiły się ćwierci wołowego mięsa, woły się pasły spokojnie, borsuk spał na burce Świdy, nigdzie śladu krwawej sceny nocnej, a dzień jasny i piękny jak marzenie.

Władka prędko zrobiła swą toaletę nad strumykiem, zaczesała złote warkocze i zawstydzona ospalstwem, zaczęła się krzątać około swej kuchni.

A na porąbce siekiera brzmiała bezustannie i płynęła piosenka robotnika. Niestrudzony był niczem i spieszył się, spieszył!...

W jakiś czas potem Simsonowie z ojcem na czele wybrali się wreszcie w odwiedziny do nowych osadników.

Ścieżkę przez puszczę już przebił Sam w swych częstych tamże wędrówkach, więc już nie błądząc, trafili na polanę. Świda miał dnia tego syzyfową robotę, gdyż zaciągał belki na stojący już zrąb. Jaką siłą zrobił to wszystko dwojgiem tylko rąk, tegoby i on nie potrafił opowiedzieć.

Ujrzawszy sześciu drabów i starego, rzucił robotę skomplikowaną mocno ze sznurów, drągów i podpór przeróżnych i powitał ich radośnie.

Samuel poszedł prosto do Władki, piorącej u strumienia i dumny ze swych praw dobrego znajomego, ofiarował się jak zawsze ze swą choć nieudolną pomocą, tamci pozostali, obchodząc ciekawie budynek i wykrzykując na cześć Swidy.

Bez długich korowodów wzięli się gromadą do dzieła. Belki zawleczono w parę godzin, a tymczasem Władka wydobyła z wozu baryłkę wódki i na trawie zastawiła posiłek.

Były to jej ostatki. Zapasy się kończyły, a nowych nie przybywało, bo Świda pochłonięty pracą nigdy nie chodził na łowy, a o wyprawie do najbliższych magazynów nie mogli i marzyć, a zresztą nie miał ani pieniędzy, ani skór do zamiany.

Poczciwy Sam dzielił się z niemi zdobyczą; żeby nie ta pomoc, dawnoby Aleksander musiał zaprzestać budowli i starać się o alimenta.

Simsonowie z apetytem wilczym zmietli zastawione jadło, wypili wódkę, a że późno było, zostali na nocleg. Niewybredni to byli goście, ale też i niespokojni. Pozrzucali bez ceremonii buty i surduty i żując tytoń, spluwając, opowiadali jeden po drugim łowy na Indyan i zwierza. Władka, którą Świda wcześnie odprowadził do wozu, noc całą budziła się co pięć minut, spłaszana rewolwerowemi wystrzałami. Myślała, że chodzi o pantery i niespokojna przez płótno wozu szukała swego męża oczami; tymczasem były to tylko objawy dobrego humoru panów Simsonów, którym towarzyszyły wycia i piski, cały chór naśladowniczy czerwonoskórych i drapieżców. O świcie najstarsi, Bob i Will, ruszyli na łowy; stary wrócił do domu, czterech ochoczo wzięło się ze Świdą do budowli. Więc rosła w oczach i Władka pogodziła się z ich pozorną gburowatością. Natury to były prawe i poczciwe do gruntu, a dla niej okazywali wielkie, prawie trwożne uszanowanie.

Bob i Will o południu przynieśli prawie całego jelenia i sami własnoręcznie upiekli pieczeń sposobem indyjskim.

Tak dwa dni na polanie wrzało jak w garnku, a gdy wreszcie ucichło, na chacie tylko brakło dachu i Świda oświadczył żonie, że za dwa tygodnie sprowadzą się do mieszkania.

I tak dzień po dniu rosła robota, ciesząc ich niesłychanie. Teraz, gdy drzewa z grubszego obrobiono, za pomocą wołów Swida zciągnął na polanę; byli ciągle blisko siebie. On rąbał i śpiewał, ona łatając odzież lub warząc posiłek, przyglądała się robocie.

Jak przepowiedział Samuel, z deskami na pułap i podłogę był najcięższy mozół; każdą sztukę trzeba było z pnia wyciosywać, a ciężkie były i chropowate okropnie. Już teraz i w nocy pracował Aleksander i ledwie nad ranem zasypiał godzin parę na ziemi, dopóki mu słońce nie zajrzało w oczy, nie pędziło do roboty.

Nigdy się nie poskarżył i nie ustał. Rękojeść topora zdarła mu skórę z rąk, blizn miał pełno i szramów, raz belka rozgniotła nogę, czasem siekiera oślizgiwała się kalecząc biedaka, a co nocy myślał ze strachem, że chyba już pomartwiałe ramiona i kark zbolały wypowiedzą posłuszeństwo.

Przemógł wszystko, a tak był tą pracą swą zajęty, że i w ciężkim śnie widziała Władka, że rękami ruszał bezwiednie, jakby wciąż rąbał.

Simsonowie, a zwłaszcza Sam nie szczędzili pomocy, młody strzelec przynosił zwykle zwierzynę z kniei i przebywał po dni kilka, ciesząc się postępem roboty jak dziecko.

Nareszcie dokończył Swida podłogi i z wielką radością wypakowali wóz z przyborów i wnieśli się do swego pałacu. Pałac to był niski i trochę krzywy, bez drzwi jeszcze i okien, nie miał też ścian wewnętrznych i komina, wyglądał na chlew sklecony na prędce, ale ich radości, gdy się znaleźli pod dachem, niktby nie zdołał opowiedzieć.

Najcięższa połowa pracy była przebyta...

Następnego dnia Świda zaciągnął jedyne okienko błoną wo-

łową i wziął się do skomplikowanej konstrukcyi drzwi, a Władka rozgościła się w chacie.

Umebłowanie składało się z ławy, tj. deski opartej na dwóch pniach i takiegoż stołu, w dwóch skrzynkach mieściła się ich odzież i statki, a w kącie z desek też niezgrabnie zbite było posłanie, nad którem zabłysła w swej gloryi Częstochowska Boga Rodzica, umajona amerykańskiemi kwiatami.

Niedziela nastąpiła po tym dniu radośnym i Świda pozwolił sobie na wypoczynek.

Raniutko orzeźwił się kąpielą w strumyku, zrzucił łachmany z siebie, ostrzygł i ogolił zdziczałą brodę, przybrał w nowy bawełniany kaftan.

Uklękli potem oboje przed Polską Królową i pomodlili się z głębi serc.

Simsonowie dnia tego odśpiewawszy obowiązkowe psalmy, poszli w odwiedziny do sąsiadów i zdala już powitani zostali pieśnią poważną na dwa głosy, nieznaną sobie.

Głos kobiety srebrzysto czysty intonował, męski głęboki wtórował jej.

I tak w swej samotności, złożywszy spracowane dłonie, oparci o krzywe ściany swej tułaczej siedziby, siedzieli we dwoje i zapatrzeni w pogodne niebo, śpiewali swoję pieśń daleką:

Kto się w opiekę poda Panu swemu...

(Dokończenie nastąpi).

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA.

Cesarz niemiecki wydał nowe przepisy wojskowe, w których powiedziano, starszyzna wojskowa nie ma prawa znęcać się i zbeszczeszczać żołnierzy. Wszelkie nadużycia mają być surowo karane. Dobrzeby było, aby taki surowy rozkaz wydał cesarz austryacki, aby zniesiono „Anbinden“, aby zniesiono ciemnicę, aby nie bito żołnieży po twarzy, jak to już wszystko razem z innymi posłami przedstawił w parlamencie poseł Danielak. W żadnej armii nie ma tyle samobójstw, co w ausryackiej.

Do Berlina nadeszły wiadomosci dotąd nie sprawdzone, że królowi Edwardowi angielskiemu grozi ślepota i nieuleczalna choroba krtani.

Pewien anglik, nazwiskiem Fipps, ofiarował dla wdów i sierót po poległych burach 500 tysięcy koron. Jenerałowie Botha i Delauej razem z ofiarodawcą będą zarządzali tym funduszem.

Straszne nieszczęście spotkało dużą i piękną wyspę Sycylię, należącą do Włoch i tuż przy tym kraju na południu położoną. Wyspę nawiedziła tak szalona burza, że cała Sycylia przedstawia dziś straszny obraz spustoszenia. W prowincyi Kotonii, olbrzymie drzewa powyrywane z korzeniami, ulice miast stoją pod wodą, a na cmentarzach pływają wypłukane z ziemi trupy. Miasto Medikę burza nawiedziła o północy. Ludzie spali, gdy w ciągu 2-ch godzin wody rzeki wśród wichru i nawałnicy podniosły się do wyso-

kości drugiego piętra. Krzyk rozpaczliwy, huk burzy, tonięcie ludzi i zwierząt, noc ciemna — straszna to chwila. Zpod gruzów jednego domu wydobyto 10 zwłok, w piekarni jakiejś znaleziono 11 trupów. W kościele N. M. Panny znaleziono 5 zwłok pokrytych grubą warstwą naniesionego mułu. Dotąd wydobyto 600 zwłok. Zrozpaczeni mieszkańcy rękami grzebią w mule w poszukiwaniu zaginionych krewnych i dzieci i błagają żołnierzy, by im oddali ojca lub matkę. Nikt jednak nie jest wstanie objaśnić, dokąd fale uniosły ciała. Rząd wobec tej klęski wstrzymał na Sycylii pobór podatków i dał na zapomogi 20 tysięcy koron.

W Koryncie w stanie Missisipi w Ameryce lud wydobył z więzienia murzyna, skazanego za zamordowanie kobiety. Przytwierdzono go do słupa żelaznego. Dokoła wzniesiono stos z napuszczonych olejem kloców drzewa, poczem brat zamordowanej kobiety podpalił stos. Aktowi temu przypatrywało się 5000 widzów obu płci. Nie dość było tym ludziom kary sądowej!

Sprawa Transwalu. Niemało jeszcze upłynie w rzekach wody, zanim ludzie przestaną mówić o dzielnych burach, a właściwie zanim oni odreparują się po doznanej klęsce. Teraz właśnie najwybitniejsi jenerałowie burów jeżdżą po Europie i... proszą o wparcie dla swoich zubożałych braci. „Lud Transwalu i Oranii — mówią ci jenerałowie w odezwie swojej do narodów Europy i Ameryki — obecnie po skończonej walce widzi się zupełnie zrujnowanym. Domy nasze, a jest ich trzydzieści tysięcy, wraz z ruchomością leżą w popiołach, drzewa owocowe ścięto i zniszczono, wszystkie narzędzia gospodarcze popsuto, młyny spustoszono, zwierzęta domowe uprowadzono lub zgładzono, a nam, niestety, nic nie zostało! Kraj jest pustynią! Wojna wydarła również wiele ofiar w życiu, kraj rozbrzmiewa lamentem wdów i sierót!

„Nie potrzebujemy przypominać i o tem, co będzie w przyszłości koniecznem dla wychowania dzieci. Wyrządzone przez wojnę szkody są nieopisanie wielkie, tak, że drobna suma, krórą Anglia zobowiązała się dostarczyć, nawet gdyby była dziesięćkroć zwiększona, okaże się za małą dla pokrycia chociażby strat, przez samą wojnę wywołanych. Wdowy i sieroty, kaleki, nędzarze, dzieci nasze, w których imieniu wyłącznie tę odezwę ogłaszamy, nie odniosą z tego żadnej nieomal korzyści.“

I oto Botha, Dewet i Delarej jeżdżą po Europie, prosząc o pomoc dla swoich. A Czemberlen, minister kolonij angielskich zaciera ręce i powtarza bnrom, żeby siedzieli cicho, bo im i resztę odbierze.

Anglia. Generałowie burscy Bota, Delarej i Dewet przyjechali do Londynu. Ukłakają się oni z Czemberlenem, aby przyznał mieszkańcom Transwalu i Oranii prawa wybieranie posłów i posłowania oraz, aby rząd angielski zwrócił zabrane majątki, ułaskawił tych mieszkańców kolonii angielskiej Kaplandu, którzy uczestniczyli w powstaniu, i przeznaczył jeszcze trzymilionową zapomogę na odbudowanie zniszczonych zagród.

Stany Zjednoczone (w Ameryce). W stanie Minnesota był taki silny wicher, że porwał cały pociąg kolejowy i zrzucił go z szyn w przepaść około 18-tu stóp głęboką. Niektóre wagony zapaliły się. a inne są rozbite w kawałki. Zpod szczątków wydobyto trzy trupy, a dwudziestu podróżnych jest ciężko rannych.

Martynika. Nastąpił nowy wybuch wulkanu Mą Pel. Miejscowości Monruż i Delkabr zburzone doszczętnie. Zginęło około 200 osób.

Nowy ten wybuch wulkanu opisuje naoczny świadek w sposób nastę-

pujący: 28 go sierpnia dało się uczuć silne trzęsienie ziemi, po którem wulkan zaczął wybuchać. 30-go sierpnia o 8¹/₂ wieczorem zaczęły się wylewać potoki lawy i ognia. Olbrzymia czarna chmura, smagana nieustannemi błyskawicami, posuwała się z niesłychaną szybkością w kierunku Fordefrans, siejąc po drodze postrach i zniszczenie. Dwie wsie zalane doszczętnie wrzącą lawą. Tłumy poparzonych i rannych, przeważnie kobiet i dzieci, przepełniają tutejsze szpitale.

Wobec nowych wybuchów wulkanu rząd francuski postanowił całkiem opróżnić północną część wyspy. Ludność murzyńska będzie przeniesiona do Gwadelupy i do Kajenny, a ludność biała przesiedla się na wyspę Kubę. Gubernator dostał od rządu francuskiego pół miliona koron na pokrycie szkód, wyrządzonych przez nowy wybuch wulkanu.

SPRAWY LUDOWE.

W sprawie pomoru świń w Jordanowie. Od p. weterynarza w Jordanowie otrzymujemy następujące pismo: Dnia 18. sierpnia zostałem wezwany przez mieszczanina p. Tomasza Roga do chorej świni, a ponieważ objawy chorobowe wskazywały mi podejrzenie pomoru świń, więc byłem obowiązany w myśl ustawy donieść natychmiast o powyższym fakcie do Starostwa. Wprawdzie na trzeci dzień świni się zrobiło lepiej, ale i to polepszenie nie usunęło jeszcze podejrzenia pomoru świń. Tak samo orzekł i weterynarz powiatowy z Myślenic.

Wobec tego na mocy rozp. cesarskiego, które nakazuje, podejrzane świnie oszacować i zabijać w celu rozpoznawczym, a przy sekcyi nie można stwierdzić stanowczo czy się ma do czynienia z pomorem, wycina się części chorobowe i posyła do Wiednia celem zbadania. Do wysyłki do Wiednia nie potrzebowaliśmy się uciekać, ponieważ przy sekcyonowaniu zabitej świni już skonstatowaliśmy brak pomoru. A trzymamy się tej zasady, że lepiej jest podejrzaną świnię zabić i stwierdzić zaraz z początku, czy jest zaraza, aniżeli puścić ją wolno. Puszczając podejrzane o pomór świnie, moglibyśmy przyczynić się tylko do rozszerzenia zarazy. Wiele jednak ludzi nie rozumi ustawy, tem bardziej, gdy są sami interesowani jak np. p. Tomasz Róg z Jordanowa.

Wszak i lekarze medycyny ludzkiej często nie mogą stanowczo orzec za życia o rodzaju choroby. Tymczasem na lekarzy inaczej się zapatrują aniżeli na weterynarzy. Wiadomem też jest, że lekarze mają daleko łatwiejsze przy rozpoznawaniu choroby zadanie, aniżeli weterynarze, gdyż człowiek powie, co mu brakuje i gdzie, a zwierzę nic nie powie, tutaj osądza się z tego co się widzi i słyszy, a najtrudniej jest badać świnię.

Mowy więc o nadużyciu nie ma wcale. My obaj weterynarze postąpiliśmy jak nam obowiązek i ustawa nakazywała. Myśmy nie oznaczali terminu, kiedy P. Tomasz Róg ma dostać pieniądze, lecz pouczyliśmy tylko, że Skarb Państwa płaci za takie wypadki!

(My nie przeczymy, że pp. weterynarze pełnią tylko to, co im ustawa nakazuje, przyznać jednak muszą sami, że ustawa o pomorze i mordowaniu podejrzanych świń jest głupia, a ci, co tę ustawę wydali, to znają chyba

tylko z talerza i nie mają wyobrażenia o chowie świń. Ustawa ta nie tylko w straszny sposób krzywdzi lud, na niesłychane straty naraziła cały kraj, ale i ze skarbu państwa wyrwała już miliony, a chorobie nie zapobiegła. W Niemczech jest więcej świń zarażonych aniżeli u nas, a już nie biją, bo samo mordowanie nic nie pomogło. Zresztą jest dzisiaj rzeczą już pewną, że pomór ten na ludzi nie przechodzi, spożyte mięso i chorej świni ludziom nie zaszkodziło, więc i mordowaniu świń należy raz koniec położyć i całą ustawę o pomorze w piec rzucić. Rząd wiedeński każe płacić za zabite świnie zaraz, ale u nas w Galicyi ani ustaw ani rozporządzeń nie słuchają i ztąd tyle krzywd, tyle nadużyć i tyle przekleństw ludu.

Dr. Danielak).

Kronika i rozmaitości.

Rada państwa zebrała się dnia 16. bm. Posłowie nasi przyjechali do Wiednia. Listy do Dr. Danielaka posyłać należy pod adresem: Dr. Danielak, Wiedeń, Parlament.

Macierz Polska. Jako czwarty tomik biblioteki Macierzy w roku bieżącym wydał zarząd Fundacyi arcydzieło Orzeszkowej „Nad Niemnem“. Skrócenia powieści dokonała za zgodą autorki Antonina Morzkowska. Przeprowadziła je w ten sposób, że wątek osnowy silnie się zaznacza, a na plan pierwszy występują niezrównane opisy z życia szlachty zagrodowej na Litwie. Wyrazy pochodzenia obcego zastąpiła p. Morzkowska swojskimi, oczywista przez wzgląd na czytelniczytelników, dla których Macierz polska przeznacza swoje wydawnictwa. Książka obejmuje obecnie 291 stron druku i kosztuje 80 halerzy.

Zapaliła się wódka w domu Alojzego Sikory, gdy żona jego wódkę przepalała z cukrem na kuchni. Zapaliła się odzież na nieszczęśliwej kobiecie, skoczył mąż, aby ją ratować, poparzył się sam, ale żony nie uratował. Umarła w 7 godzin w strasznych boleściach.

OO. Bernardyni w Krakowie powinni raz zrobić porządek z człowiekiem, który w kościele i koło kościoła częste wyrabia awantury. Niewiadomo, kto on jest, czy to kościelny, czy to dziad, dość, że nie zważa ani na kościół, ani na ludzi. Niedawno zrobił straszną awanturę p. Piękosiowi z Góry św. Jana dlatego, że córeczka jego, wchodząc do kościoła, nie domknęła drzwi. Mówią wojskowi, którzy mieszkają blisko kościoła, że ten awanturnik bardzo często takie breweryе wyrabia. OO. Bernardyni powinni go wyrzucić na łeb, choćby dlatego, że nie szanuje świętego miejsca.

Czy wojskowych obowiązują przepisy kolejowe? Od jednego z pasażerów, który przejeżdżal w nocy 15 września przez Kolomyję, otrzymujemy opis następującego zajścia:

O godzinie 12 w nocy przyjechał pociągiem z Czerniowiec do Kołomyi pewien zugsführer 24 pułku piechoty i wysiadł na dworcu. Zamiast wyjść z dworca drogą przepisaną, przeskoczył pan zugsführer, nie namyślając się wiele, baryerę. Gdy portyer kolejowy uczynił grzeczną uwagę, że nie wolno przeskakiwać baryery, przyskoczył ku niemu nadporucznik konnej obrony krajowej i począł wrzeszczeć do portyera: „halts Maul, schweigen Sie, wojskowy może iść, którędy mu się podoba“.

Świadkowie tej sceny mieli wrażenie, że nadporucznik, nieco podochocony, szukał koniecznie zaczepki.

Rezerwista zamęczony na śmierć. Przed kilku dniami donosiliśmy o zamęczeniu na śmierć rezerwisty Rausa w Pilznie i o wdrożeniu w tej sprawie surowego śledztwa ze strony władz wojskowych. Rokicańskie pismo „Zdar" donosi obecnie, że w nocy z czwartku na piątek jakiś nieznajomy sprawca" włamał się do tak zwanej adjutantury i do kancelaryi kapitana Ramyscha, gdzie splądrował biurka i skradł wszystkie papiery.

Aresztowania za „jestem". Do przemyskiego więzienia wojskowego dostawiono kilku rezerwistów z Dobromila, za to, że przy kontrolnem zgromadzeniu przez pomyłkę, zamiast „hier", zawołali „jestem". Zbrodnia" zostanie zapewnie przykładnie ukarana.

Oficer defraudant-dezerter. Z Przemyśla donoszą nam: Zbiegły przed kilkoma tygodniami starszy porucznik artyleryi wałowej Gaj, ścigany za defraudacyę 1.200 koron z kasy pułkowej i za dezercyę, napisał ze Szwajcaryi do kapitana swego list, w którym zapytuje go, czyby mógł wrócić bez obawy do kraju, na wypadek, gdy rodzina jego pokryła defraudacyę. W tymże samym liście stawia Gaj, jako warunek swego powrotu ponowne przyjęcie w szeregi armii z rangą oficerską.

Nowe banknoty. Bank austro-węgierski rozpocznie dnia 20 b. m. wydawać banknoty 100-koronowe, a równocześnie rozpocznie się wycofywanie banknotów 100-guldenowych.

Ofiary manewrów. Podczas manewrów 6 dywizyi piechoty w Lassendorf jeden z szeregowców 2 pułku bośniackiego został ciężko raniony kulą w skroń. Również pewien kapral z 7 p, p. został ciężko raniony. Ćwiczenia natychmiast wstrzymano i przeprowadzono bezzwłocznie rewizyę wszystkich karabinów, ale sprawcy nie wykryto. — Podczas manewrów między Karlsstadtem i Ognilczem jeden z żołnierzy 5 p. p., trafiony kulą w pierś, zginął na miejscu. — Sprawcę wykryto.

Z dyrekcyi stanisławowskiej. Poniżej podajemy charakterystyczną listę kar spadłych w przeciągu dwóch miesięcy na pewnego kolejarza z dyrekcyi stanisławowskiej.

Wspomniany kolejarz ukarany został następującemi grzywnami: 2 korony kary za to, że zgłodniały poszedł po chleb do poblizkiego sklepu, gdy pełnił służbę za siebie i zwrotniczego, który musiał pójść na targ z wieprzem; 1 kor. kary za to, iż nie zbudził urzędnika (do czego wcale nie był obowiązany); 2 kor. kary za to, iż nie zameldował wyjazdu pociągu z poprzedniej stacyi, chociaż dzwonki wcale tego nie sygnalizowały; 2 kor. kary za to, iż telefonował, pytając się o wyjazd pociągu; 7 kor. kary za to, że nie odniósł tzw. „laufzettel", która zapóźno była wydana; 5 kor. kary za to, iż spóźnił się do służby z powodu choroby (przygniotła go beczka); 6 kor. kary za to, iż upomniał się o wydanie kłaków do czyszczenia aparatów; 4 kor. kary za nieprzykręcenie śrub, które były tak zepsute, iż niepodobieństwem było je przykręcić; 7 kor. kary za to, iż nie zbudził urzędnika ruchu (do czego wcale nie był obowiązany); 5 kor. kary za to, że urzędnik nie chciał zablokować wjazdu do pociągu; 40 hal. kary za to, iż nie zbudził naczelnika do aparatu telegraficznego; 40 hal. kary za to, że nie przyszedł wcześnie pozamiatać w kancelaryi.

Cały ten korowód kar uwieńczono, przenosząc za karę biednego kolejarza na inną stacyę, chociaż wiedziano, że posiadał swój dom, gdzie pozostawić musiał

żonę z dziećmi. W przeciągu 2 miesięcy zdarto z człowieka 40 koron i 80 hal. a w dodatku przeniesiono go.

Z manewrów. Od jednego z rezerwistów, który odbył manewry przy 80 pułku piechoty we Lwowie otrzymujemy następujących parę szczegółów: Kapitan 3 kompanii Schlegel karał żołnierzy za najmniejszą drobnostkę w drakoński sposób. Rezerwista Bratuń został skazany na 10 dni aresztu celkowego za to, że, stojąc na „avisoposten“ podczas strzelania do „szajby“, przebrał sobie obuwie, które go bardzo gniotło. Drugi rezerwista Drock został ukarany 5-dniowym aresztem za to, że spóźnił się 5 minut na ćwiczenie. Frajter Zacharyasz Drumyga wystąpił z szeregów podczas ćwiczeń w okolicy Tłumacza, we wsi Pałahicze, aby się napić wody, gdyż dzień był strasznie upalny. a ludność wiejska wystawiła po drodze naczynia z wodą. Nagle z tyłu uczuł uderzenie szablą po plecach, — odwróciwszy się, ujrzał kadeta Jonasza z 4 kompanii. Na uwagę, że bić nie wolno, odpowiedział gołowąsy kadet dwukrotnym policzkiem tak, ża aż frajterowi czapka z głowy spadła. Gdy Drumyga schylił się po czapkę, kopnął go kadet dwa razy, aż się przewrócił. Drumyga zgłosił się u kapitana Piaseckiego do raportu pułkowego, ale ten nie chciał do tego dopuścić.

Do świeżo otworzonej szkoły polskiej w M. Ostrawie zapisało się 90 dzieci. Okazuje się więc już zaraz z początku potrzeba paralelek. W tym roku otworzono dopiero jedną klasę. Sądzimy jednak, iż tow. szkoły ludowej na rok przyszły postanowi dodać klasę drugą i tak rokrocznie, aż nie utworzy się szkoła sześcioklasowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Fürgał. Dr. Danielak odpisał Panu dawno i list odesłał w kopercie. Może gdzie przepadł.

P. Kołodziejczyk. P. Danielak, gdy był we Wiedniu, to się o sprawie tej dowiadywał, ale jeszcze była nierozstrzygnięta. Jeżeli już przyszła odpowiedź na rekurs to mu napiszcie, co odpowiedzieli. A jeżeli dotąd odpowiedzi nie ma, to trzeba drugi raz napisać wprost do ministra.

P. Dubias. Byłoby nieźle pojechać do Lwowa i całą sprawę przedstawić prezydentowi Wyższego Sądu, Excellencyi Tchorznickiemu.

P. Piękoś, O tym awanturniku wydrukujemy, a co się tyczy tego poręczenia przed 27 laty, to radzę pójść do nowego p. starosty lub do p. komisarza Matyasa.

P. Opoka. Bardzo nas cieszy to, że się Panu podoba nasza gazeta. Robimy co tylko można, aby była ciekawą, aby było co czytać dla wszystkich, nie żałujemy grosza z własnej kieszeni, bo pragniemy wielkiej oświaty dla ludu. A bez szkoły, bez książki i bez gazety oświaty nie będzie, no i lepiej nam nie będzie. A mimo starań, jeszcze tak mało ludzi chce czytać. Ciekawi jesteśmy, ilu włościan w waszej wiosce czyta gazetę i jaką gazetę czytają? Napiszcie nam.

Powieść „Pożary i zgliszcza“ dostaniecie w księgarni Zwolińskiego w Zakopanem. Kosztuje coś 1 zł. 50 ct. Powieść tę wydał przed laty poseł nasz Danielak, ale wszystko się rozeszło, a tom jest jeszcze tylko w księgarni.

Mapę Polski możecie dostać w księgarni Spółki wydawniczej w Krakowie. Kosztuje około 3 koron. Pozdrawiamy was, a nakłaniajcie nam nowych czytelników.

P. Piekarczyk. Mapę Królestwa polskiego może wydamy w przyszłym roku. Teraz wydać nie możemy, bo brak pieniędzy.

Z targów zbożowych. Kraków, dnia 18 października. Płacono za 100 kilogr. netto Pszenica od 15·30 do 16·—; — Żyto od 12·40 do 14·40; Jęczmień od 12.— do 12·80; — Owies z opłatą akcyzową od 13·50 do 13·90; — Groch od 18·—· do 26·—; — Tatarka od 14·— do 19·—; – Proso od 11·— do 14·—; — Fasola od 14·— do 18·—; — Jagły od 18·— do 24·—; Siano od 5·— do 6·—; — Słoma od 4·— do 4·40; — Koniczyna na paszę od 6·— do 6·40; — Ziemniaki za hektolitr od 2·60 do 3·60; — Jaja za kopę od 3.60 do 4.—; – Masło za garniec od 6·50 do 7·30; Kukurudza za 100 kilogr. od —·— o 14·40; Kapusta w głowach świeża za kopę od 1·60 do 4·—. Wszystko liczono w koronach.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

Wydawca: **Franciszek Ptak.** — Redaktor odpowiedzialny: **Władysław Jaśko.** — Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.